

KS.  
WACŁAW  
HRYNIEWICZ  
MĄDROŚĆ  
SERCA  
18 ROZMÓW  
O NADZIEI  
I MIŁOSIERDZIU

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2016

© Waław Hryniewicz OMI, 2016

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek

Korekta: Ewa Kiedio

Projekt okładki: Marcin Kiedio

Skład: Marcin Kiedio

ISBN: 978-83-277-1199-1

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[e.wydawnictwowam.pl](http://e.wydawnictwowam.pl)

Druk i oprawa: Drukarnia READ ME • Łódź

## Miłosierdzie i nadzieja są nieodłączne

Pomimo rozwoju i upowszechniania się środków komunikacji pogłębiają się obecnie przepaście między ludźmi. Wzrasta się poczucie obcości i zagrożenia. Narasta fala wrogości i terroryzmu. Apele o wzajemne zrozumienie, czułość, miłosierdzie i współczucie (w sensie „czucia wespół” z innymi) stają się coraz bardziej programem dla wszystkich religii, także dla chrześcijaństwa.

Jedno z ośmiu błogosławieństw Jezusa w Kazaniu na Górze wydaje się obecnie szczególnie aktualne: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią (Mt 5,7). Błogosławieństwo staje się udziałem tych, którzy innym okazują miłosierdzie. Zgorszonym faryzeuszom, niepojmującym tego, jak Nauczyciel z Nazaretu może jadać razem z celnikami i grzesznikami, On sam zaleca: „Idźcie i nauczcie się, co znaczy: *Miłosierdzia chcę, a nie ofiary*” (Mt 9,13). Te same słowa powtórzone zostały ponownie w odpowiedzi na zarzut faryzeuszów, oburzonych tym, że głodni uczniowie zaczęli w szabat zrywać kłosa i jeść (Mt 12,7). Nielitościwy dłużnik z przypowieści Jezusa zostaje skazany na karę: „Czy więc i ty nie powinienes zlitować się nad swoim współsługą, jak ja zlitowałem się nad tobą?” (Mt 18,33).

Miłosierdzie jawi się w Ewangelii jako zasada pedagogiczna o uniwersalnej skali zastosowania. Tylko Łukasz

notuje słowa Jezusa: „Bądźcie miłosierni, jak miłosierny jest wasz Ojciec (Łk 6,36). Ludzka postawa miłosierdzia jest naśladowaniem postępowania samego Boga. Czy Kościoły chrześcijańskie nie powinny odznaczać się podobną postawą? Czy w ich nauczaniu i postępowaniu nie bierze często góry nieprzejednanie i bezwzględny rygorizm? Czy praktykują one pedagogię miłosierdzia, którą z tak wielkim zaangażowaniem głosi papież Franciszek? Miłosierdzie nie musi oznaczać permissywizmu. Jak zachować złoty środek pomiędzy liberalną pobłażliwością a twardym rygoryzmem?

#### **PRZYCZYNY WEWNĘTRZNEGO ZUBOŻENIA I WYNATURZENIA CZŁOWIECZEŃSTWA**

Narastającej agresji w ludziach nie uleczy się surowymi karami. Trzeba spojrzeć z wielkim wczuciem zwłaszcza na dramaty dzieciństwa, w którym zabrakło miłości i zrozumienia dla potrzeb dziecka. Psychoterapeuci wykazują, że bolesne przeżycia z wczesnego dzieciństwa zostają na zawsze zakodowane w mózgu w postaci nieświadomych wspomnień („pamięć ciała”). Doświadczenia te zostają stłumione w odruchu samoobrony przed cierpieniem i lękiem.

Te nieświadome wspomnienia nie giną jednak, lecz skłaniają dorosłego już człowieka do powtarzania w stosunku do innych tego, czego sam wcześniej doświadczył. W ten sposób dawna ofiara chce uwolnić się od głęboko zakorzenionych lęków, które pozostawiły przeżycia z dzieciństwa. Wiedziony złością i lękiem taki człowiek teraz sam zadaje cierpienie, dopuszcza się przemocy i upatruje coraz to nowych ofiar. Nieuświadomiony i niewyrażony gniew odkłada

się gdzieś głęboko we wnętrzu i w końcu zamienia w złość, nienawiść i wrogość do innych. To właśnie wrogość między ludźmi staje się nagłym problemem do rozwiązania.

Twórczy potencjał chrześcijaństwa to przede wszystkim mądrość ukryta w Ewangelii, Dobrej Nowinie. To nie przypadek, że Jezus ukazany na kartach Ewangelii uwrażliwia na los dzieci, staje w ich obronie, upomina się o ich prawo do miłości. To w dzieciństwie kryją się przyszłe możliwości rozwoju człowieka. Jeżeli coś zniszczy się w dziecku, zaciąży to na całym jego późniejszym życiu i jego stosunku do innych ludzi. Nie można zmienić ludzkich dziejów, jeżeli nie zmieni się jakości relacji między ludźmi, a to w dużej mierze zależy od sposobu wychowania.

W rozwoju ludzkiej zdolności współ-odczuwania kluczową rolę ma okres dzieciństwa. Nabywanie wzorców zachowania agresywnego odbywa się w dużej mierze przez naśladowanie. Duży procent agresywnych dzieci pochodzi z rodzin, w których dominującym sposobem porozumienia jest agresja. Dotyczy to zarówno kar fizycznych stosowanych wobec dzieci, jak i stosunków między samymi rodzicami. Na poziom agresji u młodocianych przestępców wpływa rodzaj kar stosowanych przez rodziców. Im kary były surowsze i bardziej niekonsekwentne, tym poziom agresji jest wyższy. Pojawia się zjawisko „przemieszczenia” agresji, skierowania jej na innych, na obiekt zastępczy.

Na wyzwolenie zachowań agresywnych wpływa także odrzucenie dziecka ze strony rodziców lub innych osób ważnych w jego życiu. W takiej sytuacji tłumy ono w sobie najbardziej podstawowe potrzeby – miłości, akceptacji i bezpieczeństwa. Rodzi się w ten sposób poczucie bolesnej frustracji, od której już tylko krok do agresji. Odrzucenie

dziecka prowadzi w wieku dojrzałym do odwetu. Im dziecko jest bardziej wrażliwe, tym bardziej brutalna może być w późniejszym wieku reakcja na odrzucenie. W najbardziej okrutnym zbrodniarzu skrzywdzono najpierw bardzo wrażliwe dziecko. Czy tylko ono ponosi za to odpowiedzialność przed Bogiem?

Lęki z dzieciństwa spowodowane wskutek doznanej przemocy i cierpienia mogą przez całe życie podsycać w człowieku wrogie uczucia do innych ludzi. Skrzywdzone dziecko nie rozwija w sobie zdolności do odczuwania i współczucia dla innych lub wcześniej zdolność tę traci. W późniejszym życiu będzie skłonne do tego, aby znajdować przyjemność w dręczeniu innych. Nie poruszy go widok cierpienia czy nieszczęścia. Słowo „miłosierdzie” nic dla niego nie znaczy.

Człowiek nie rodzi się z mózgiem w pełni ukształtowanym. Na jego rozwój wpływ mają zwłaszcza doświadczenia z pierwszych trzech lat życia. Najnowsze badania neurobiologów potwierdzają fakt, że powtarzające się bolesne przeżycia powodują zwiększone wydzielanie hormonów stresu, które naruszają delikatną tkankę mózgu i uszkadzają istniejące już neurony. U maltretowanych dzieci stwierdzono, że części mózgu sterujące emocjami były od 20 do 30% mniejsze niż normalnie. Nie tylko znęcanie się, ale także brak czułego kontaktu fizycznego z rodzicami powoduje u dziecka niedorozwój pewnych funkcji mózgu, zwłaszcza tych, które wiążą się ze sferą uczuć. Prowadzi to w konsekwencji do wewnętrznego zubożenia i wynaturzenia człowieczeństwa. Psychiczne i fizyczne nadużycia w stosunku do dzieci sprawiają, że tłumione emocje kodują w nich pragnienie odwetu za swoje poniżenia i bolesne przeżycia. Alice Miller pisze w jednej ze swoich książek:

Jeżeli przeżyć traumatycznych dziecka nie łagodzą żadne doznania pozytywne, na przykład doświadczenia czułości, prowadzi to do zaprzeczania własnemu cierpieniu i idealizowania okrucieństwa ze wszystkimi tego strasznymi konsekwencjami. Kto od najwcześniejszego dzieciństwa poddawany był niezwykle upokarzającemu i okrutnemu wychowaniu i nie miał w swym otoczeniu nikogo, kto by go wspierał i przekazywał mu wartości humanitarne, musiał się siłą rzeczy nauczyć podziwu dla tego okrucieństwa<sup>1</sup>.

Bite dziecko jest przekonane, że świat opiera się na przemocy. Wiele dzieci dorastało w przekonaniu, że dręczenie, poniżanie i wyśmiewanie służy moralności, że dlatego należy je znosić w posłuszeństwie i pokorze. Po latach dziecko usłyszy w domu, w szkole i w kościele pouczenia o moralności, które będą zaprzeczeniem tego, czego doświadczyło jego ciało w pierwszym okresie życia. Bolesne doświadczenia z pierwszych lat życia zakodowane zostały w nim na zawsze.

Kiedy więc ciało dziecka od urodzenia uczy się, że dręczenie i karanie niewinnej istoty jest rzeczą słuszną, takie przesłanie tkwi w nim znacznie silniej niż nabyta później wiedza intelektualna. Tragiczne jest to, że takie dziecko jako osoba dorosła niekiedy przez całe życie twierdzić będzie, jak kiedyś Luter, że bicie jest nieszkodliwe, a kary przynoszą dobre skutki, choć od dawna wiadomo, iż jest odwrotnie. Jeżeli natomiast dziecko od początku będzie chronione, kochane

<sup>1</sup> A. Miller, *Ścieżki życia. Historie, w których każdy odnaleźć może własne losy*, przełożyła A. Gierlińska, Poznań 2000, s. 168.

i szanowane, to doświadczenie to również zostaje zakodowane w nim na całe życie<sup>2</sup>.

Jest faktem znanym, że Marcin Luter zachęcał rodziców do stosowania wobec dzieci kar cielesnych. Z jego życia wiadomo, że od wczesnego dzieciństwa był bity przez matkę. Twierdził potem, że wyszło mu to tylko na dobre. Uważał, że takie wychowanie jest słuszne i zgodne z nauką Pisma Świętego: „Synu mój, nie lekceważ karcenia Pana, ani nie zalamuj się, gdy On napomina. Pan bowiem karci tego, kogo kocha, chłoscze zaś każdego, którego przyjmuje za syna”<sup>3</sup> (Hbr 12,5b-6; por. Prz 3,11-12; Ap 3,19). „Kto miłuje swego syna, często używa na niego różgi” (Syr 30,1). Zakodowane w umyśle Reformatora przekonanie, że takie postępowanie jest słuszne, skoro czynią to „kochający” rodzice, miało w tym przypadku większy wpływ niż Boskie przykazanie miłości bliźniego i miłosierdzia wobec słabszych.

W wielu wspólnotach religijnych nadal zaleca się bicie dzieci różgą już w pierwszych miesiącach ich życia. Rzekomo dla ich dobra, aby zapamiętały naukę na całe życie. Oczywiście, że zapamiętają! Nie będzie to jednak pamięć dobra i twórcza, lecz destrukcyjna i szkodliwa<sup>4</sup>.

W katolickich i protestanckich szkołach bito kiedyś zwłaszcza chłopców w przekonaniu, że to jest zgodne z Ewangelią. A wystarczyło zapytać siebie i innych: czy wyobrazasz sobie Jezusa bijącego dziecko? Przestępczość nieletnich może w jakiejś mierze rodzić się z rozczarowania dzieci

<sup>2</sup> Tamże, s. 169.

<sup>3</sup> *Pismo Święte Nowego Testamentu i Psalmi*. Przekład ekumeniczny z języków oryginalnych. Warszawa 2001.

<sup>4</sup> Zob. A. Miller, *Ścieżki życia*, s. 156.



wciąż napominanych i nauczanych moralności w domu i w szkole. Są one baczными obserwatorami. Łatwo dostrzegają rozbieżność pomiędzy deklaracjami swoich rodziców i nauczycieli a ich rzeczywistym postępowaniem. Dochodzą do przekonania, że religia to jedynie puste słowa.

Są w Biblii pouczenia, które odzwierciedlają pedagogiczne metody dawnych czasów. To one wprowadzają w błąd wielu wierzących rodziców, tak samo wychowywanych w swoim dzieciństwie. Przekazują oni dalej to, czego sami się nauczyli od swoich rodziców. Sami bici, gloryfikują później swoje własne doświadczenia. Potrafią upiększać swoje okrucieństwo religijną ideologią. Nasze obecne doświadczenia z terroryzmem przypominają o fakcie, że terrorysta mści się najczęściej podświadomie na swych niewinnych ofiarach za to, czego doświadczył w swoim dzieciństwie. Daje w końcu upust stłumionej niegdyś złości, choćby nawet zaprzeczał temu, że tak jest.

#### **DLACZEGO CZŁOWIEK STAJE SIĘ ZDOLNY DO OKRUCIEŃSTWA?**

Jednej z głównych przyczyn poszukiwać należy w błędnych metodach wychowawczych. Historia pedagogiki pokazuje przerażające skutki ignorancji w wychowaniu dzieci. Systematyczne karanie, upokarzanie, a zwłaszcza znęcanie się nad nimi przez rodziców lub opiekunów gromadzi w nich ogromne pokłady nienawiści, która prędzej czy później da o sobie znać w postaci agresji lub okrucieństwa. Błędne jest twierdzenie, że liczba młodych przestępców rośnie dzisiaj w zastraszającym tempie z tej racji, że dzieci

są wychowywane zbyt łagodnie i pobłaźliwie. Wnikliwe studia wykazują jednak, że to właśnie dzieci, które były najbardziej bite lub zaniedbywane, znajdują później przyjemność w agresji, niszczeniu i gloryfikacji przemocy. Pownownie Alice Miller:

Jeśli nawet wskutek zaniedbań wobec dziecka w ciągu trzech pierwszych lat jego życia wystąpi u niego niedorozwój pewnych okolic mózgu, to i tak nigdy nie jest za późno na to, by pomóc mu odbudować zaufanie we własne siły, jeśli stworzymy ku temu sprzyjające warunki. Mózg ludzki ma bowiem nieograniczone możliwości. W optymalnych warunkach możliwe jest przejęcie funkcji uszkodzonej okolicy mózgu przez inną. Dowiodły tego liczne sukcesy cierpliwych terapeutów i humanitarnych pedagogów. Podstawowym warunkiem powodzenia terapii jest jednak uświadomienie sobie faktu doznanej szkody zamiast ignorowania go czy też bagatelizowania. Wydaje mi się, że w niektórych przypadkach konfrontacja z przeszłością jest niemal nieunikniona, jeśli chcemy coś zmienić na lepsze i w ten sposób wziąć na siebie odpowiedzialność za naszą przyszłość<sup>5</sup>.

System wychowawczy oparty na karach wychodzi z założenia, że dziecko przejawia złą wolę, którą należy ukroić. W rezultacie jednak karane dziecko traci zaufanie do siebie samego. Odczuwa ciągły lęk. Uczy się na podstawie własnych doświadczeń, że silniejszy ma prawo nadużywać swojej władzy. Dziecko wychowywane za pomocą kar i przy użyciu siły nie ma odwagi nabywania nowych doświadczeń. Brak mu

<sup>5</sup> Tamże, s. 173–174.

nadziei i ufności. Wciąż żyje w lęku, że zostanie ukarane za każde rzekome przewinienie. Rezultat jest ten, że po latach, osobie już dorosłej brakować będzie pozytywnych doświadczeń dających otuchę i budzących nadzieję na osiągnięcie czegoś wartościowego w życiu. Pozbawiona ufności, będzie ona poddańczo ulegać autorytetom i zadawać cierpienie słabszym od siebie, zgodnie z własnymi doświadczeniami z dzieciństwa. Człowiek uczy się przyjmować okrucieństwo swojego wychowania jako karę za przewinienia, choć w rzeczywistości dotyka ono najczęściej niewinne dzieci.

Wiek xx przyniósł niezliczoną ilość przykładów okrucieństwa ze strony tych, którzy sami zaznali przemocy w dzieciństwie. W pewnych sytuacjach kobiety potrafią być nawet bardziej okrutne od mężczyzn. Wymienia się często przypadek kobiet, „blokowych” w obozach koncentracyjnych. Były to przeważnie młode, przeciętne dziewczęta w wieku dziewiętnastu do dwudziestu jeden lat, pracujące wcześniej jako krawcowe, sprzedawczynie lub w innym zwykłym zawodzie. Jak wyjaśnić ich sadyzm i okrucieństwo w stosunku do dzieci i więźniarek? Nie wystarczy odwołać się do wpływu hitlerowskiej ideologii czy propagandy. One same były wcześniej ofiarami przemocy fizycznej i psychicznej. To właśnie sprawiło, że tak łatwo stały się nadgorliwymi wykonawczyniami odgórnych rozkazów. Zwłaszcza wobec Żydów uznanych za „podludzi” wszystko było dozwolone. Ukryta od czasu dzieciństwa agresja i nienawiść znalazły teraz sprzyjające warunki do pełnego rozkwitu. Wystarczył byle jaki powód. Najpierw „blokowe” zabroniły na przykład żydowskiemu dzieciom korzystania z wody do mycia, a gdy były brudne, można było wyżywać się na nich do woli. Wystarczyło rzucić dzieciom kilka kostek cukru, a kiedy

biły się i wyrywały je sobie z rąk, można było patrzeć na to z pogardą i przekleństwem. Młode kobiety z zaburzonymi w dzieciństwie emocjami potrzebowały takich sytuacji. Nareszcie mogły poczuć swą władzę i wyładować na bezbronnych ofiarach długo skrywaną złość.

Najbardziej okrutni oprawcy wywodzą się spośród ludzi, którzy w dzieciństwie doświadczyli brutalności wychowania. Książki Alice Miller, a zwłaszcza *Zniewolone dzieciństwo. Ukryte źródła tyranii* dostarczają w tym względzie wielu konkretnych przykładów<sup>6</sup>. I tak Adolf Hitler nie znalazłby masowego poparcia, gdyby nie rozpowszechniony w tamtym czasie w Niemczech i w Austrii model wychowawczy oparty na surowych karach i żelaznej dyscyplinie. Niemiecki dyktator nie był wyjątkiem. Tak samo wychowywani byli również inni znani okrutnicy. To właśnie pedagogika końca XIX i początku XX wieku wraz z całym systemem kar cielesnych i psychicznych uitorowała drogę do ludobójstwa. Okazywanie czułości dziecku było uznawane za przejaw słabości, wypaczającej jego charakter.

Za występami ludzi kryją się osobiste dramaty i tragedie. Mają one swoją prehistorię i swoje głębokie przyczyny. Wiele aktów przemocy ma swoje korzenie już w najwcześniejszym okresie dzieciństwa. Nie wolno tych spraw bagatelizować, oburzać się i wygłaszać moralnych pouczeń. Trzeba je rozumieć i wyciągać stąd konsekwencje. W przeciwnym

<sup>6</sup> Zob. A. Miller, *Mury milczenia. Cena wyparcia urazów dzieciństwa*, Warszawa 1991; *Dramat udanego dziecka. Studia nad powrotem do prawdziwego „ja”*, przekład N. Szymańska, Warszawa 1995; *Pamięć wyzwolona. Jak przerwać łańcuch toksycznego dzieciństwa*, Warszawa 1995; *Zniewolone dzieciństwo. Ukryte źródła tyranii*, przełożyła B. Przybyłowska, Poznań 1999.

razie wszelkie apele do współczucia, czułości i miłosierdzia pozostaną bez skutku.

Kto w dzieciństwie zaznał miłości i dobroci, wcześniej przejmował od rodziców ich postawę pełną zrozumienia, miłosierdzia i współczucia dla innych. Te właśnie cechy sprawiały, że tacy ludzie zdolni byli nieść pomoc innym i ratować ich życie. Taka altruistyczna postawa wymagała zdolności do podejmowania niezależnych decyzji, odwagi, zaufania, bezinteresowności i życzliwości. Jest owocem innego stylu wychowania.

Owszem, nie każdy człowiek bity w dzieciństwie musi zostać przestępcą. To, że tak się nie dzieje, zawdzięczamy obecności w otoczeniu bitego dziecka przynajmniej jednej osoby współczującej, miłosiernej i pomocnej. Taką osobą była w przypadku Fiodora Dostojewskiego kochająca go matka. Jego ojciec był okrutnikiem nieznanym litości. Z wściekłości zabijał nawet swoich poddanych. Syn nie wyrósł na zbrodniarza, ale całe życie cierpiał na epilepsję. Człowiek szczerze współczujący może wiele pomóc pośród trudnych przeżyć dzieciństwa. To dzięki niemu można uporać się wewnątrz z wypartymi do podświadomości przeżyciami, uświadomić sobie doznaną krzywdę, zdobyć się na przebaczenie i zaakceptować własne życie. Dzięki ludzkiej dobroci i przyjaźni nie stajemy się okrutnikami. Dotyczy to nie tylko samego dzieciństwa, ale również wieku dojrzałego. Człowiek rozumiejący, współ-czujący i przyjazny potrzebny jest każdemu. To on budzi otuchę, zaufanie do życia i nadzieję, podtrzymuje wiarę w miłość.

Najwięksi zbrodniarze ludzkości nie rodzą się jako okrutnicy. Zaczątki zbrodniczych instynktów kryją się najczęściej w tragediach dzieci bitych i upokarzanych. To one mają

wielki wpływ na dalszy rozwój życia. Okrucieństwo ma swoje główne źródło w wypieraniu z własnej świadomości poczucia, że było się samemu ofiarą przemocy ze strony innego człowieka, zwłaszcza najbliższego. Kto uświadomi sobie ten fakt, rozładuje go i pogodzi się z nim pod wpływem głębszej motywacji, ten może ochronić swoje życie przed wewnętrznym przymusem znęcania się nad innymi w odwecie za doznane krzywdy. Pomoc może jedynie zrozumienie własnej sytuacji i uświadomienie sobie niszczyielskiej siły sadyzmu zarówno w niszczeniu innych, jak i swojego człowieczeństwa.

Deklaracja praw dziecka postuluje, aby dawać dziecku to, co ludzkość ma najlepszego – miłość, zrozumienie, poczucie bezpieczeństwa i przynależności. Jest to postulat wciąż aktualny. Dziecko jest istotą kruchą i delikatną, najbardziej narażoną na krzywdy zadawane przez dorosłych.

### O INTELIGENCJI SERCA

Chrześcijaństwo nie zdołało jeszcze należycie docenić wielkiej siły przeobrażonego ludzkiego serca, roli czułości i miłosierdzia, które zdolne są skutecznie przemieniać międzyludzkie relacje. Ewangelia przypomina, że jesteśmy ludźmi obdarowanymi. Dano nam coś wielkiego i pięknego. Nieocenionym darem jest życie człowieka, a wraz z nim sfera związana ze zdolnością miłowania. To Ewangelia mówi o tym, że człowiek może być darem lub nieszczęściem dla innego człowieka, a nawet darem lub udręką dla samego Boga.

Chrześcijanin w Ewangelii szuka nieodkrytych jeszcze możliwości rozwoju człowieka na drodze nadziei, czułości

i miłosierdzia. To właśnie Ewangelia uczy mądrości serca miłującego, czującego współ, inteligentnego i wrażliwego. Religijna wiara i nadzieja kształtują całego człowieka. Nie można ich zredukować do sfery samego rozumu, tak jak z drugiej strony nie można poprzestać na samych uczuciach i wzruszeniach. Zdrowa religijność wymaga niełatwej syntezy umysłu i serca, harmonijnej syntezy największych duchowych uzdolnień człowieka. Obecnie zarówno religia serca, jak i religia rozumu są w równej mierze zagrożone przez współczesny sceptycyzm, indyferentyzm i sekularyzm. Wielu ludziom wydaje się, że ani rozum, ani serce nie mają już nic do powiedzenia w sprawach wiary i nadziei. Chrześcijaństwo wymaga dzisiaj trudu pogłębienia i wyrażenia na nowo tego, co jest w nim najśmielsze i najbardziej zastanawiające. Nie może się to dokonać jedynie na drogach dyskursywnego rozumowania. Chrześcijanin ceni rozum jako dar Boży, ale go nie ubóstwia.

Nie bez powodu we współczesnej filozofii i psychologii wychowania coraz częściej pisze się o „inteligencji duchowej” (*spiritual intelligence*) człowieka oraz o inteligencji serca (*cordial intelligence*). Inteligencja duchowa skupia i łączy w sobie inteligencję racjonalną i emocjonalną. Mówienie o inteligencji serca nie jest bynajmniej metaforą. W świetle badań ostatnich lat serce uznać należy za ośrodek sterowniczy i swoisty organ pojmowania, ściśle powiązany z mózgiem w jeden żywy układ poznawczy. Potwierdzają to wyniki badań Instytutu Serca (Heart Math Institute) w Kalifornii, w których stosuje się również metody matematyczne (stąd słowo „Math” w samej jego nazwie). Mózg jest posłuszny sygnałom wysyłanym przez serce. W kory mózgowej zachodzą procesy związane z uczeniem się,

rozumowaniem i wartościowaniem, natomiast sfera ciała migdałowatego jest układem odpowiedzialnym za procesy emocjonalne mózgu oraz kształtowanie pamięci emocjonalnej. Pojmowanie to nie tylko myślenie czy intelektualne poznanie. Pojmując, ogarniamy całość. Jedność serca i umysłu decyduje o jedności poznania duchowego. Serce potrafi lepiej pojąć to, co wydaje się niedostępne dla dyskursywnego umysłu: sens dobra, piękna, prawdy i całości bytowania. W ślad za Biblią tradycja wschodniego chrześcijaństwa od wieków łączy serce z umysłem, a umysł z sercem. Mówi o sercu inteligentnym, o „umysło-sercu” i poznaniu serdecznym. Serce to duchowy ośrodek człowieka scalający wszystkie siły ludzkiego ducha: umysł i zdolność miłowania.

Nie są to sprawy obojętne dla właściwego rozumienia roli czułości, współczucia i miłosierdzia w życiu człowieka. Potrzeba więcej troski o kształtowanie mądrości serca. Chrześcijaństwo jest religią integralną, religią umysłu i serca. Siła ludzkiego intelektu nie opiera się jedynie na samej logice rozumowania; jest raczej duchową zdolnością wnikania w głąb tajemnic świata, człowieka i Boga dzięki „światłym oczom serca” (Ef 1,18). Dokonuje się to w duchowym doświadczeniu, nieodłącznym od mądrości serca.

#### PSYCHOLOGIA WIARY O DRAMACIE NADZIEI

Bardzo wiele zależy od charakteru i jakości naszych relacji z innymi ludźmi. Poprzez kontakt z rodzicami dzieje ludzkiego życia zapisują się na trwałe od wczesnego dzieciństwa. Dramat samotności i pustki emocjonalnej jest dramatem nadziei. Kalectwo emocjonalne rzutuje na całą przyszłość



młodego istnienia. Psychologowie i pedagodzy mówią o zjawisku pierwotnej i wtórnej choroby sieroczej. Pozostawia ona za sobą trwałe i nieodwracalne skutki. Często zdarza się, że okaleczona w dzieciństwie samotna matka nie potrafi pokochać własnego dziecka. Oddaje je z rozmysłem do zakładu opiekuńczego, bez cienia współczucia, „nie roniąc ani jednej łzy”. Czyni to z egoizmu, dla wygody, ze wstydu, dla kariery lub dla innej miłości. Tak tworzy się i przedłuża zamknięty krąg nieszczęść ludzkich. Cena, którą płacimy za błędy wychowania, jest bardzo wysoka. Dzieje ludzkiej krzywdy sięgają w całe pokolenia. Osamotnione dzieci na świecie wpływają potem na bieg jego dziejów. Krzywda idzie ze skargą przed oblicze samego Boga po drugiej stronie życia.

Dziecko rodzi się z potrzebą kontaktu. Świadczy o tym już jego uśmiech pojawiający się na bodziec słuchowy w pierwszych tygodniach życia, a około 4.–6. miesiąca na widok twarzy matki. U noworodka potrzeba kontaktu z matką może być silniejsza od głodu. Więź osobowa i przywiązanie są równie silną potrzebą jak głód fizyczny. Uszkodzenie sfery emocjonalnej we wczesnym okresie życia jest przyczyną późniejszych zakłóceń w kontaktach międzyludzkich, źródłem agresywności, zgorzknienia i osamotnienia. Jest to antyteza życzliwości, przyjaźni, czułości i miłosierdzia – w sumie dramat nadziei w życiu człowieka. Sieroca samotność małego dziecka dosięga drugiej strony ludzkiego życia. To ona powoduje często sierocą samotność dorosłego lub starego człowieka, pozbawionego nadziei na ciepło ludzkich uczuć.

Zastanawia fakt, że dzieci długo przebywające w domach dziecka mało płaczą. Nauczyły się znosić kary, cierpienie i ból bez łez. Zostają okaleczone na całe życie, jeżeli w pobliżu nie znajdzie się osoba, która rozładuje nagromadzone

w nich uczucie strachu, pocieszy i obroni. Niezaspokojona potrzeba miłości, przynależności i bezpieczeństwa powoduje długotrwałe, destrukcyjne skutki psychiczne. Jest w tym wyraźna analogia do niezaspokojonych potrzeb biologicznych, które rodzą negatywne następstwa w rozwoju fizycznym dziecka. Nadzieja na spełnione życie może rozwijać się tylko w atmosferze życzliwości, przyjaźni, czułości i miłości. Miłość i zdolność do współ-odczuwania są największą inspiracją dla aktywności pozytywnej i twórczej.

Systemy oświatowe zwiększają coraz bardziej u dzieci wydolność umysłową, co z kolei umożliwia postęp nauki. Trudności pojawiają się wtedy, gdy nie zostaje zachowana proporcja między rozwojem umysłowym i rozwojem uczuciowym. Nie wolno rozwijać ludzkiego umysłu kosztem innych sfer psychicznych. Intelktualne sukcesy ludzkości nie są bynajmniej gwarancją polepszenia relacji między ludźmi. Nie bez powodu socjologowie mówią dzisiaj o „samotności w tłumie”, wynikającej z zaniku emocjonalnej łączności między ludźmi. Nadzieja na lepszą przyszłość jest nieodłączna od rozwijania zdolności do współ-odczuwania ludzkiego losu, owej *compassion*, której wartości edukacyjnej wciąż należycie nie doceniamy.

#### **PEDAGOGIA MIŁOSIERDZIA I NADZIEI A NASZE WYOBRAŻENIA O BOGU**

Psychologowie zwracają uwagę na możliwość powstawania u dziecka również deformacji w kształtowaniu się wyobrażeń o Bogu. Sprzyja temu sam charakter jego myślenia i wyobraźni. Pod wpływem obrazu rodziców przenosi ono na

Boga cechy ludzkie. Konkretny i obrazowy sposób jego myślenia na wczesnym etapie rozwoju sprawia, iż rzeczywistości niewidzialnej nadaje ono rysy antropomorficzne, opierając się zwłaszcza na doświadczeniach zdobytych w kontakcie z rodzicami i innymi ludźmi. Niebezpieczeństwo pojawia się wraz z przeniesieniem na Boga negatywnych cech obrazu własnych rodziców. Pojęcia dotyczące sfery religijnej będą wówczas siłą rzeczy zdeformowane, to zaś utrudni późniejsze życie wiary.

Chrześcijańskiej teologii miłosierdzia nie da się pogodzić z represyjnym modelem wychowania. Może on okazać się równie destrukcyjny jak szerzący się obecnie model całkowitego luzu, pozwalający na wszystko i nieznający żadnych ograniczeń. Błędne metody wychowawcze sprawiają, że dziecko, a potem młody człowiek przedstawiać będzie sobie Boga niemal jak groźnego policjanta pilnującego porządku i rejestrującego wszelkie wykroczenia. Kto grozi dziecku „karą Boską” i „gniewem Bożym”, utwierdza w nim wyobrażenie o Bogu karzącym, którego trzeba się lękać jak kogoś niezycliwego i groźnego, czyhającego na ludzkie potknięcia, stającego zawsze po stronie silniejszych. Rodzi się pokusa, aby takiego Boga całkowicie wyprzeć ze swojego istnienia i żyć „po swojemu”.

Droga dziecka do Boga zostaje w ten sposób utrudniona na długie lata, a być może na całe życie. Okazuje się to zwłaszcza w czasie trudnych doświadczeń, gdy życie zdaje się tracić swój sens. Zaufanie zostało podważone przez nadużywanie przez rodziców przemocy i kary, tym bardziej, jeżeli powoływali się przy tym na Boga i Jego nakazy. Zaufanie zostaje również podważone, gdy Bóg jawi się jako przeciwnik ludzkiej wolności, radości i szczęścia.

Zmiana systemu wychowawczego wymaga dostrzeżenia kluczowej roli dzieciństwa w procesie rozwoju osobowości człowieka. W tym właśnie można dopatrywać się nadziei na lepsze jutro świata. Rzecz zrozumiała, że żadna hipoteza nie jest w stanie wyjaśnić wszystkich zawiłości ludzkiego losu. Przekonanie o decydującym znaczeniu sposobu wychowania w dzieciństwie nie jest jednak tylko teorią. Przeświadczenie to znajduje potwierdzenie w niezaprzeczalnych faktach, których tragiczne następstwa odbiły się aż nazbyt boleśnie na dziejach ludzkości. Nie wolno ich ignorować. Nie może być lepszej przyszłości bez wyciągania wniosków z błędów popełnianych w przeszłości i w teraźniejszości.

Wiele zależy również od jakości nauczania religii w szkole. Poprzez katechezę wpaja się dziecku określoną wrażliwość religijną, którą zachowa ono na długie lata. Jest to często religijność strachu przed wszechmogącym, surowym i karzącym Bogiem, sprawiedliwym Władcą. Człowieka widzi się wówczas przede wszystkim jako istotę skłoną do grzechu. Myśląc o Bogu, mamy nauczyć się, jak strzec się grzechu i nieuchronnej kary. W takiej szkole dziecko uczy się formułek i pewników do zapamiętania. Nie rozwija się w nim umiejętności stawiania pytań. Wszystko ma być jasne i pewne. Życie nie potwierdza potem tej religijnej oczywistości. Weryfikacja jest bardzo bolesna i prowadzi do wielu kryzysów.

Nauczanie kościelne powinno ukazywać Boga Zbawiciela, miłującego, miłosiernego i przyjaznego dla wszystkich ludzi – Boga, który „nie męczy się przebaczeniem”, jak stale przypomina obecnie papież Franciszek. Trzeba uczyć dziecko zachwytu, wdzięczności za życie i za piękno świata, a w ten sposób wprowadzać je w atmosferę innej duchowości. Nie sposób być człowiekiem szczęśliwym, nie

będąc wdzięcznym za dar istnienia i doznawane każdego dnia dobro.

Religia to więź i przyjaźń z Bogiem. Wiara i nadzieja nie dają gotowej odpowiedzi na wszystkie pojawiające się pytania. Uczą samodzielności i poszukiwania odpowiedzi. Wychowują do chrześcijaństwa, z którego nie są wypędzone radość i poczucie wolności. Wierzę i ufam Bogu, bo On kocha ludzi. Jeżeli stawia pewne wymagania, to dla mojego dobra. Kiedy zawodzę, wyrządzam krzywdę sobie i innym. Udaremням Boskie zamierzenia wobec każdego człowieka. Zawsze mogę jednak zwrócić się do Boga z prośbą o przebaczenie i naprawić swój błąd. On nikogo nie odrzuca, nawet człowieka najbardziej grzesznego. Jest jak ratownik ocalający życie w niebezpieczeństwie. Takie przekonanie uczy zaufania względem Boga, lepiej przygotowuje do życia. Okaże się to dopiero w tak trudnych sytuacjach, jak niepowodzenie, cierpienie i utrata kogoś bardzo bliskiego.

### **BÓG JAKO MIŁOSIERNY OJCIEC O RYSACH MATKI**

Z przypowieści Jezusa wyłania się wyraźny obraz Boga jako miłosiernego Ojca, który oczekuje powrotu tych, którzy pobłądzili, wybacza winy, przekonuje, zaprasza, wzywa do zmiany myślenia i sposobu życia. Bóg Jezusa daje wszystkim szansę nowego początku. Nikomu tej szansy nie odmawia.

Nauczając, Jezus nie mówił wyraźnie o Bogu, który działał w dziejach Izraela i wyzwolił go z niewoli egipskiej. To nie Bóg Księgi Wyjścia znajduje się w centrum Jego nauczania, ale miłujący Bóg Ojciec, który troszczy się nie tylko o ludzi,

ale o wszystkie swoje stworzenia (zob. Mt 6,25–34). Jest to Bóg obecny od początku w dziejach ludzkości: Bóg Abrahama, Izaaka, Jakuba... Listę imion można by przedłużać. Stąd zapewnienie: „Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych” (Mk 12,27). Jego troska ogarnia nie tylko wielkich wybrańców: „On bowiem każe swemu słońcu wschodzić nad złymi i nad dobrymi i deszcz daje sprawiedliwym i niesprawiedliwym” (Mt 5,45). Język Jezusa przemawia do każdego.

Wspomnijmy w tym miejscu przynajmniej o przypowieści o dobrym Samarytaninie (zob. Łk 10,30–37). Żydowski kapłan i lewita (świecki pomocnik kapłanów w służbie świątynnej) nie zatrzymali się przy poranionym podróżnym na drodze z Jerozolimy do Jerycha. To właśnie Samarytanin, powszechnie uchodzący za heretyka i znieprawdzonego wroga, bezinteresownie zaopiekował się rannym, przypuszczalnie Izraelitą. To przez niego Bóg okazał swoją życzliwość i troskę o ludzi. To ten współczujący i miłosierny człowiek jest przykładem dla każdego, wzorem postępowania dla wszystkich, którzy chcą nieść pomoc bliźnim w potrzebie. Zdarza się również dzisiaj, że chrześcijanie, widząc innych w potrzebie, nawet swoich współwyznawców, nie zatrzymują się, lecz mijają ich, usprawiedliwiając się doraźnymi okolicznościami. Tymczasem wyznawcy innych religii czy wręcz ludzie niewierzący potrafią okazać miłosierdzie i szlachetność serca. To oni są wówczas dobrymi Samarytanami, wcielającymi w czyn „nowe przykazanie” (J 13,34). To oni są również zwiastunami nadziei na jutro lepszego świata.

Nauka Jezusa o Królestwie Boga, które nie zna żadnych granic, skierowana była do wszystkich ludzi. Nakazywał swoim uczniom miłować także nieprzyjaciół. Tak postępując, mają oni naśladować miłość samego Stwórcy do

wszystkich bez wyjątku (zob. Mt 5,44–45). To jest wyróżniająca cecha Ewangelii Jezusa. Uczy On, że pochodzimy od jednego Boga, dobrego Ojca, życzliwego dla wszystkich. To właśnie jest głównym motywem dla życzliwego odnoszenia się ludzi do siebie nawzajem, do przebaczenia win i okazywania miłosierdzia. Człowiek prawdziwie Boży, człowiek pokoju, łagodny, sprawiedliwy i miłosierny to człowiek Błogosławieństw, wygłoszonych przez Jezusa w Kazaniu na Górze. Chodzi nie tylko o samo przyjazne nastawienie, ale także o konkretne czyny. Bezwarunkowa miłość Boga do wszystkich ludzi ma znaleźć odzwierciedlenie w naszych wzajemnych relacjach. „Bądźcie miłosierni, jak miłosierny jest wasz Ojciec” (Łk 6,36).

Sam Jezus dawał przykład takiego postępowania. Nie dzielił ludzi na dobrych i złych, choć mówił, że takimi okazują się często, z różnych powodów, w swoim życiu. Nie ukrywał, że powszechna życzliwość Boga stawia człowiekowi wysokie wymagania. To ona skłania do niesienia pomocy wszystkim ludziom w potrzebie. Będziemy sądzeni właśnie z tego, jak odnosiliśmy się zwłaszcza do „najmniejszych braci” (Mt 25,40) i sióstr, bez względu na kolor ich skóry, religię i przekonania. Pod tym względem ogólnoludzkie znaczenie ma przypowieść o sędzie nad narodami (Mt 25,31–46). Wymienionych zostało w niej sześć ludzkich potrzeb i sytuacji ludzi wzywających życzliwej pomocy. Jezus utożsamia siebie z głodnymi, spragnionymi, tułaczami, pozbawionymi odzieży, chorymi i więźniami. Oni do Niego należą. Potwierdza swoją ukrytą obecność w tych, którzy cierpią niedostatek.

Jest to lista otwarta, bynajmniej nie ograniczona do wymienionych sytuacji. Przedstawia jedynie różnorodność

pilnych potrzeb życiowych. A jest ich, także dzisiaj, bez wątpienia o wiele, wiele więcej. Relacji do innych ludzi, zwłaszcza tych w wielkiej potrzebie, nie wolno więc oddzielać od relacji do samego Jezusa. Przypowieść o sędzie nad „wszystkimi narodami” (w. 32) rozszerza na wszystkich ludzi to, co mówił On w innych okolicznościach o swoim utożsamieniu z uczniami, z dziećmi i „najmniejszymi” (zob. Mt 10,40–42; 18,5–6.10.14). Wszyscy będą osądzeni ze swojego postępowania względem potrzebujących i cierpiących, gdziekolwiek oni są. To kryterium uniwersalne i niezwykle humanistyczne, obecne również w innych religiach.

Nauczanie Jezusa streszcza w sobie modlitwa *Ojczy nasz*, którą przekazał swoim uczniom. Uczy ona ufnej postawy wobec miłosiernego i miłującego wszystkich Boga oraz życzliwej postawy wobec ludzi. Bezgraniczna życzliwość Stwórcy domaga się tego samego od nas ludzi. Zdumiewa otwarty charakter Modlitwy Pańskiej, która nikogo nie wyklucza. Także wyznawcy innych religii mogą przyzywać z ufnością przyjścia Królestwa Bożego, które jest wspólną przyszłością dzieci tej Ziemi. Która modlitwa przynagła do szukania sensu życia jak „chleba naszego powszedniego”? Która uczy z równą intensywnością prośby o przebaczenie i umiejętność przebaczenia tym, którzy wobec nas zawinili? Która jest bardziej usilną prośbą o wyzwolenie od Złego i wszelkiego zła? Kryje się w niej Boska pedagogia nadziei i miłosierdzia.

Kiedy uczniowie rozprawiali o tym, kto z nich jest największy, Jezus powiedział: „Jeśli ktoś chce być pierwszy, niech będzie ze wszystkich ostatni i sługą wszystkich” (Mk 9,35). Aby to utkwiło jeszcze bardziej w ich pamięci, „wziął dziecko, postawił je pośród nich, objął i powiedział: Kto przyjąłby jedno z takich dzieci w imię moje, Mnie



przyjmuje, a kto Mnie przyjmuje, nie przyjmuje Mnie, lecz Tego, który Mnie posłał” (w. 36–37). Z Ewangelii Mateusza promieniuje ta sama wielka wrażliwość i życzliwość Jezusa wobec dzieci. „Zapewniam was – mówił – jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebios. Kto się więc unży jak to dziecko, ten jest największy w Królestwie Niebios. Kto przyjąłby jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje” (Mt 18,3–5). A w wersji ewangelisty Marka: „Zapewniam was: Kto nie przyjmie Królestwa Boga jak dziecko, nie wejdzie do niego” (Mk 10,15).

Oto istotny warunek znalezienia się w nowej eschatologicznej wspólnotcie ludzi. Jezus nie zacieśnił powyższych wypowiedzi do swego narodu. Nie powiedział: „jeśli ktoś z moich rodaków przyjmie żydowskie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje”. Samo słowo „kto” sugeruje otwartość i odnosi się do wszystkich ludzi.

#### **PEDAGOGIA MIŁOSIERDZIA I NADZIEI NIE JEST DROGĄ TANIEJ POBŁAŻLIWOŚCI**

Postawa natchniona czułością, miłosierdziem i zdolnością do współ-odczuwania kształtuje nowy styl życia. Samo karamie odizolowuje człowieka i zamyka w sobie. Miłosierdzie i współczucie otwierają nowe możliwości, budzą nadzieję i dają szansę rozpoczęcia na nowo. Miłosierdzie jest na dłuższą metę skuteczniejsze niż kara. To ono przywraca utracone więzi wspólnoty między ludźmi, umożliwia powrót, odbudowuje poczucie międzyludzkiej solidarności. Pedagogia miłosierdzia kryje w sobie wielką siłę twórczą. Jest to jednak

inna pedagogia, zgoła trudniejsza, wymagająca głębszej duchowości oraz większej odpowiedzialności i dojrzałości religijnej. Pedagogia miłosierdzia musi iść w parze z pedagogią nadziei. Nadzieja szuka ocalenia także dla winowajców. Nie jest nadzieją bezradną.

W tym świetle należy popatrzeć na wiele nierozwiązanych problemów w społeczeństwie i w Kościele. Dotyczy to również wzajemnych odniesień poszczególnych Kościołów. W nich także przedłuża się dramat nieszczęśliwego dzieciństwa całych rzesz ludzi wierzących, a zwłaszcza tych osób, które przewodzą poszczególnym wspólnotom. To te osoby w największym stopniu wnoszą w swoje społeczności albo ducha zaufania i życzliwości, albo poczucie podejrzliwości i wrogości. Sprawa ekumenicznego pojednania i wzajemnej akceptacji woła o nowy styl wychowania. Trzeba, aby stawało się ono na całe życie szkołą życzliwego i przyjaznego nastawienia do innych ludzi oraz ich odmienności. Bez tego trudno spodziewać się dobrych rezultatów dążeń ekumenicznych we współczesnym świecie, coraz bardziej pluralistycznym i zróżnicowanym.

Obok pedagogii strachu przed wieczną karą istnieje również pedagogia miłosierdzia i nadziei na ostateczne zwycięstwo dobra w całym stworzeniu. Miłosierdzie nie musi być antypedagogiczne. Otwiera ono raczej perspektywę innej pedagogii, zgoła trudniejszej, wymagającej głębszej duchowości, większej odpowiedzialności i dojrzałości religijnej. Perspektywa ta nie znalazła dotąd konsekwentnego odzwierciedlenia w nauczaniu Kościołów. Nadal istnieje rozbieżność pomiędzy oficjalnym stanowiskiem kościelnym i teologią szkolną a nurtem nadziei i zaufania do Bożkiej pedagogii miłosierdzia i Jego zwycięskiej łaski, nurtem

obecnym także w doświadczeniach niektórych mistyków. Ostatecznym źródłem nadziei jest sam Bóg, niestrudzenie pociągający wolność rozumnych stworzeń swoim dobrem, pięknem i miłością.

### WIZJA OSTATECZNEJ WSPÓLNOTY LUDZKIEJ

Radosne przyjęcia, zwłaszcza uczyty weselne, stanowiły w nauczaniu Jezusa pewną ilustrację i przybliżenie do rozumienia ostatecznej rzeczywistości w Królestwie Boga. W ciągu swej działalności brał udział w wielu spotkaniach przy gościnnym stole. Potrafił uważnie przyglądać się, „jak zaproszeni wybierali sobie pierwsze miejsca”, dawał dobre rady zaproszonym i temu, który zaprasza (Łk 14,7–13). Zarzucano Mu, że jada i pije „z grzesznikami i celnikami” (Mk 2,16), że „przyjmuje grzeszników i jada razem z nimi” (Łk 15,2), że jest nawet „przyjacielem celników i grzeszników” (Mt 11,19; Łk 7,34). A On przekazywał grzesznym ludziom prawdę o Bożym przebaczeniu i trosce Boga o los zagubionych.

Posługując się obrazem uczyty, Jezus mówił o swojej wizji nowej i wielkiej wspólnoty ludzkiej ze wszystkich narodów, prawdopodobnie nawiązując do słów starotestamentowego prorocstwa o przyszłym wieku: „Pan (JHWH) Zastępów przygotowuje dla wszystkich ludów na tej górze ucztę” (Iz 25,6), ucztę niewyobrażalnie bogatą. Sprawiedliwi „ze wschodu i z zachodu” (Mt 8,11) cieszyć się będą wraz z patriarchami w Królestwie Boga. To nie tylko zasiadanie przy wspólnym stole, ale po prostu „życie wieczne” (Mt 25,46).

Na szczególną uwagę zasługuje w tym względzie przypowieść o wielkiej uczcie, o przyjmujących zaproszenie

i nieoczekiwanie wymawiających się od uczestnictwa w niej (Łk 14,15–24). Jezus podważył w niej zaufanie tych swoich współwyznawców, którzy uznając się za sprawiedliwych i wybranych, uważali, że z pewnością wezmą udział w ucztie przyszłego świata, a w rzeczywistości sami siebie z niej wykluczali. W wersji Łukasza przypowieść mówi o kolejnych zaproszeniach. Skierowane zostały najpierw do Żydów (niższa warstwa religijna upośledzonych i biednych ludzi z „placów i ulic miasta”), a następnie do pogan, przynaglanych wręcz do przyjścia: „Wyjdź na drogi i ścieżki [poza miastem] i przymuszaj innych do przyjścia, aby został wypełniony mój dom” (w. 23).

Evangelista Mateusz dokonał adaptacji przypowieści o wielkiej uczcie i radykalizował ją. W jego wersji to król wyprawił wesele swojemu synowi (Mt 22,2–14). Zaproszeni zlekceważyli przyjazny gest króla, znieważyli wysłańców i zabili. Rozgniewany władca wytracił ich, a miasto spalił. Na ucztę sprowadzono wszystkich napotkanych, „złych i dobrych” (w. 10). Człowiek nieubrany w strój weselny został wyrzucony „na zewnątrz, w ciemności” (w. 13). Znaczy to, że zaproszenie wszystkich na ucztę weselną nie zwalnia od prawości życia i „sprawiedliwych czynów”, których symbolem jest, jak wyjaśnia Księga Apokalipsy (Ap 19,7–9), „lśniąca i czysta” szata z lnianego płótna (bisior). Zaproszeni są jednak wszyscy, chociaż nie wszyscy okazują się godni wybrania. Przypowieść o uczcie weselnej w wersji Mateusza nie mówi jednak o ostatecznym losie tych, którzy z braku szaty zostali wyrzuceni w „ciemności zewnętrzne”.

W swoim nauczaniu Jezus mówił o powszechności zbawienia. Wynikało to z Jego nauki o Bogu miłującym, miłosiernym, cierpliwym i nieskończenie życzliwym dla

wszystkich ludzi. Ten Bóg i Ojciec potrafi cierpliwie przekonywać, oświecić umysł i pociągnąć ku sobie nawet najbardziej oporną ludzką wolę – pociągać swoją dobrocią, miłością i pięknem. Nie jest bezradny wobec udzielonego stworzeniom daru wolności. Przejście przez gehennę jest oczyszczeniem i uzdrowieniem zagubionej istoty, która także po drugiej stronie życia zachowuje zdolność myślenia oraz zmiany grzesznych i błędnych decyzji. Bóg jest Bogiem czasu i wieczności. Jego miłość i miłosierdzie nie zostaną wycofane. Nikogo nie pozostawia On samemu sobie w stanie zagubienia i zatracenia. Pozostanie na zawsze Stwórcą i Zbawicielem.

Dramat zbawienia trwać będzie do końca ludzkich dziejów. Sam Bóg otworzy kiedyś oczy każdemu człowiekowi. Wtedy zrozumiemy, dlaczego potrzebny był ten bolesny dramat nadziei. Pedagogia miłosierdzia i nadziei powinna już teraz otwierać oczy, umysły i serca ludzi wierzących w dobroć i miłość Stwórcy.

\*\*\*

Przywołałem w tym wprowadzeniu niektóre wątki pedagogii nadziei i miłosierdzia. Inne znajdują swój wyraz w wybranych rozmowach, które w różnych czasopismach (z zachowaniem oryginalnego tytułu) prowadziłem na podobne tematy w ciągu wielu lat mojej posługi jako teolog-ekumenista. Pewne treści i motywy mogą się w nich powtarzać, ale jest to nieuniknione, gdyż to prowadzący te rozmowy, zadając pytania, kierowali swoją uwagę na różne interesujące ich zagadnienia. W tekście rozmów, w moich odpowiedziach,

wprowadziłem okazjnie tylko drobne wyjaśnienia, poprawki i uzupełnienia.

Mam nadzieję, że ogłoszony przez papieża Franciszka Święty Rok Miłosierdzia (8 grudnia 2015 – 20 listopada 2016) sprzyjał pogłębieniu refleksji nad miłosierdziem i nadzieją oraz ożywieniu życia religijnego. Temu celowi niech służą również zamieszczone w tej książce „rozmowy w porę i nie w porę”.

*Wacław Hryniewicz*

# Charyzmat poszukiwania

Rozmawia Justyna Siemienowicz

**Ot, cały warsztat teologa – gdzie nie spojrzeć, książki, książki, książki...**

Przede wszystkim to Biblia w różnych wydaniach i różnych językach. Mam ich tu bardzo dużo, i starszych, i nowszych. Proszę zobaczyć, całe popodkreślane, można by powiedzieć: pomazane, podniszczone... Może niejeden by się zgorszył, że ksiądz tak niedelikatnie obchodzi się z Pismem Świętym, ale osobiście nie mam takich zahamowań. Wystarczy, że wezmę którąś do ręki, otworzę, rzucę okiem i od razu widzę, co mnie frapowało, jakie fragmenty nie dawały mi spokoju, a często do dziś przecież nie dają. Taka Biblia czyta, nietknięta...

**...jest często nietknięta i w sensie duchowym.**

Czasami tak pewnie bywa. Jak Pani widzi, nie mam problemu z tą niedotykalnością, przynajmniej w fizycznym aspekcie. Jest wręcz odwrotnie.

**Kim jest teolog? Czy jest w teologach coś z dawnych proroków?**

Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Wciąż uczę się teologii, jestem i pozostanę do końca swoich dni jej „studentem”, który odejdzie z tego świata z uczoną niewiedzą. Ale poczytuję to sobie za wielkie szczęście. To, o czym piszę i mówię, w pewnym tylko stopniu jest moje. O tyle, o ile to, co poznałem, przeczytałem, jest przeze mnie przemyślane. Przede wszystkim jednak sięgam do Pisma i tych, którzy nim żyli oraz interpretowali przez wieki – do tych, których można by rzeczywiście nazwać prorokami nadziei. O sobie nie śmiałybym powiedzieć w tak mocnym sensie. Jeśli mówię, to głosem wieków. Próbuję przypominać to, co zostało zapomniane, a od siebie dodaję własne doświadczenie.

### **Prorocy nadziei? Czy to szczególna kategoria wśród proroków?**

Użyłem tego określenia ze względu na zakorzeniony w nas obraz proroka jako tego, który grozi, straszy, głosi konieczność nawrócenia i do niego przynagła przez zapowiadanie kary Boskiej. W moim odczuciu prawdziwymi prorokami są także ci o wrażliwym, lecz spokojnym sercu, którzy skłaniają do tego, by zaufać Bogu; którzy przekonują, że On jest Panem dziejów i nie wypuści z rąk swojego stworzenia. Nadzieja jest łagodna oraz może trafić raczej do spokojnego serca człowieka. Nie szarpie nim, nie niepokoi na krótko, ale sączy się powoli, stopniowo wnika do ludzkiego wnętrza i je przemienia.

**Czy ci pierwsi – synowie gromu, by posłużyć się bliższym określeniem, są w takim razie fałszywymi prorokami?**



Różne są powołania prorockie w zależności od sytuacji i potrzeb chwili. Bardziej przemawia do mnie, zwłaszcza dzisiaj, pozytywna rola proroka. Czy można głosić Dobrą Nowinę o Bogu, strasząc ludzi? Czy nie tkwi w tym jakaś sprzeczność? Czy Dobra Nowina nie zamienia się tym samym w przerażającą nowinę, która nieraz wpędza ludzi w przeróżne neurotyczne choroby – do tego stopnia, że niekiedy przez całe życie nie potrafią z nich wyjść? Ale na tego rodzaju pytania często pojawia się odpowiedź, że trzeba przecież wstrząsać sumieniem ludzi, bo dziś coraz mniej mówi się o grzechu, winie i karze.

### Co Ksiądz wtedy odpowiada?

Że stawianie takich diagnoz jest wyrazem wiary w skuteczność pedagogii strachu. Czy uchroniła nas ona przed dechrystianizacją, sekularyzacją i ateizmem? Bóg, który przerażał, został przez wielu odrzucony. Kiedyś krytycznie usposobieni ludzie nie mieli odwagi przeciwstawić się doktrynie, ale we wnętrzu często nie wierzyli w takiego Boga. Gdy nastały czasy większej wolności sumienia, wzmogła się fala otwartego ateizmu. Bóg, którym straszono przez wieki, umarł, jak przepowiadał Friedrich Nietzsche. Odrzucony został obraz zagniewanego i karzącego Boga. Bądźmy więc ostrożni przy wyrokowaniu, że nawracając ludzi groźbami, można osiągnąć więcej aniżeli głoszeniem nadziei. Wizja świata ostatecznie scalonego, pojednanego oraz uleczonego wymaga głębszej religijności, nieporównanie większej pracy nad wiarą i nadzieją. Ona jest po prostu trudniejsza.

## Niekiedy wydaje się jednak, że pedagogia strachu niewiele straciła na aktualności.

Bo jej skutki, choć doraźne, widoczne są gołym okiem nieomal natychmiast. Do dziś w kościołach odbywają się tzw. misje. Niegdyś prowadzący je misjonarz często zdobywał sobie posłuch wśród wiernych, grzmiąc niemilosiernie z ambony. Zdarzało się nawet, że trafiał się i taki, co odważał się rzucić krzyżem o posadzkę w kościele, aby wyrzucić na ludziach „odpowiednie” wrażenie. A gdy potem, jak w natchnieniu, wznosił ręce i rozpościerał pelerynę misjonarza, to nieraz ludzie zdjęci bojaźnią, by ukorzyć się przed Panem Bogiem, padali na kolana, nie bacząc na błoto pośniewowe wniesione na butach, zalegające czasem, podobnie jak w tym roku, jeszcze do Wielkanocy. Czy na długo te emocje jednak starczą? Czy mają w sobie moc głębokiej i trwałej przemiany serc? Ludzie wracają do domów, do swego życia, do jego zwyczajnych, codziennych trosk, problemów, zranień, rozczarowań i nie pozostaje po tych wstrząsach żaden ślad.

Ks. Tomáš Halík w jednej ze swoich książek wspomina o takich kaznodziejach, którzy nawet na Boże Ciało nie mogli powstrzymać się, by w czasie kazania nie dojść do opisu piekła i mąk piekielnych, podczas którego dziewczynki siusiały ze strachu. Przecież tego rodzaju głoszenie spraw Bożych przynosi ujmę i nic dziwnego, że wielu ludzi odeszło od Boga. Jeżeli myślimy o przyczynach sekularyzacji czy dechrystianizacji, to tego rodzaju pedagogia i wizja Pana Boga jest, myślę, jedną z najpoważniejszych.

Potrzeba wielkiego, powszechnego rachunku sumienia, bo nasza religijność staje się rytualna, procesyjna, nieraz czysto deklaratywna. Nie mam nic przeciwko praktykom

pobożności, ale jak widzę nieraz pewne ich formy i podział, jaki nastąpił dziś w Polsce, to jestem przerażony. Dlaczego doprowadzamy do tego rodzaju rozszewrów w tym, co jest najważniejsze w chrześcijaństwie? Przecież ono nie uczy nas nienawiści. Wręcz przeciwnie! Co się w takim razie stało z naszą religijnością, że jest ona taka chora, tak podatna na wypaczenia? Czy nasze głoszenie tych spraw nie idzie w złym kierunku? To, co dokonano się na ostatnim Soborze, było dopiero początkiem nowego początku. Ewangelia wzywa nas do podejmowania nieustannie na nowo wysiłku jej rozumienia i korygowania popełnianych błędów. Stąd soborowe hasło: *Ecclesia semper reformanda* – Kościół powinien stale podejmować dzieło odnowy.

**W tym wysiłku rozumienia powołanie teologiczne odgrywa szczególną rolę. Jak to jest z teologiem – on wierzy, wie, ufa w to, co głosi?**

Wiedza szuka pewników, doświadczalnego potwierdzenia – dziś już o tym wiemy dzięki naukom ścisłym. Nadzieja otwiera inną pewność. Nie jest to pewność eksperymentalna, a więc taka, którą da się namacalnie zweryfikować, choć można mówić o pewnej weryfikacji płynącej z namysłu nad źródłami wiary i doświadczeniem życia. Nadzieja daje pewność, ale jest ona szczególnego rodzaju. Przywykliśmy mówić: „wierzę, abym zrozumiał” (*credo, ut intelligam*), ale mogę również powiedzieć: „mam nadzieję, żebym zrozumiał” (*spero, ut intelligam*). Nadzieja daje mi pewną wiedzę, ale nie jest to zadufana pewność. Nie mogę przekonywać, że w tym, co głoszę, wszystko jest już raz na zawsze ustalone i udowodnione. Dlatego ma głęboki sens zalecenie apostoła

Pawła: „Z bojaźnią i drzeniem zabiegajcie o swoje zbawienie” (Flp 2,12; przekład ekumeniczny 2001). Nie wolno odwracać oczu od tego, co nie daje spokoju. Teolog także pozostaje człowiekiem otwartym na niepewność i skazanym na ciągle poszukiwanie.

### A czym jest nadzieja?

Na takie pytanie najtrudniej jest krótko odpowiedzieć. Na pewno nie zdobędę się na definicję. Mogę jedynie dać wyraz pewnemu przeczuciu, czym może być nadzieja, jak ja ją pojmuję i przeżywam. To jest nasz wysłannik, który wybiega w przyszłość dalej i szybciej niż sam nasz umysł. Nadzieja jest mądrością umysłu i serca, która uczy skuteczniej niż sama ludzka wiedza. Nie na darmo powiedziano: „Naucz nas liczyć dni nasze, byśmy zyskali mądre serca” (Ps 90,12). To jest właśnie droga nadziei. Czym jest mądrość serca? Autor Listu do Efezjan pisał o „pełnych światła oczach serca” (Ef 1,18). Jaka to głęboka i piękna intuicja! Światło, oświecone oczy serca – tym właśnie jest nadzieja. Celowo odpowiadam tekstami biblijnymi, by nie wyręczać się wyświechtanymi słówkami. Oświecone oczy sięgają wzrokiem ducha dalej aniżeli nasze doczesne życie i już jakby są u kresu – „w nadziei przecież zostaliśmy zbawieni” (Rz 8,24).

Intuicje te pobrzmiwają w sięgającej średniowiecza maksymie: „gdzie serce, tam oko” (*ubi cor, ibi oculus*). Serce współdziała w jedności z umysłem. Tu już jestem w głębokiej przyjaźni ze Wschodem, bo myśl wschodnia w ślad za Biblią mówi, że umysł zstępuje do serca, gdyż tylko razem, będąc niejako jednym, mogą docierać w głąb prawdy. Uczęszczałem przed laty w Paryżu na wykłady niezujących

już wybitnych teologów prawosławnych, Paula Evdokioma oraz Oliviera Clémenta. Ten ostatni przeszedł przez okres ateizmu, a pod wpływem Mikołaja Bierdiajewa oraz Władimira Łoskiego nawrócił się i został prawosławnym. Wyróżniało go niezwykle żywe usposobienie (jak na Francuza z Południa przystało), zawsze gorąco dyskutował, ale gdy na wykładzie mówił o „sercu inteligentnym”, jego oczy prawdziwie pałały. Zespoleń serca i umysłu rodzi mądrość przenikniętą nadzieją. Bo nadzieja jest umiejętnością inteligentnego serca, które sięga dalej aniżeli droga czysto racjonalnego dyskursu i samej logiki. Nawet niektórzy angielscy przedstawiciele analitycznej filozofii języka podkreślają: sama logika nie wystarczy (*logic is not enough*).

I jeszcze jedno. Nadzieja jest najskromniejszą z cnót teologicznych. Pięknie pokazał to francuski poeta Charles Péguy. Jego *Przedśionek tajemnicy drugiej cnoty* (część tryptyku) ukazuje nadzieję pomiędzy wiarą i miłością, a więc jako tę, która scala, integruje i pośredniczy. Poeta pisał: „Nadzieja widzi to, czego jeszcze nie ma, i to, co nadejdzie. Lubi to, co jeszcze się nie stało, a co przyjdzie. W przyszłości czasu i w wieczności”. Bez nadziei wiara nie miałaby ostatecznego odniesienia, nie wiedziałyby, dokąd zmierza, a miłość byłaby pozbawiona motywów wiary i nadziei. Ostatecznie zaś one trzy są nieoddzielne, a oderwane od siebie – marnieją.

### **Czy nadzieja zawsze powinna być w centrum teologicznych poszukiwań?**

Jako zasada interpretacyjna, która inspiruje i przenika całą refleksję teologiczną – z pewnością tak. Nadzieja stale przypomina o celu, ku któremu zmierzają dzieje stworzenia

i zbawienia. RzUCA światło na drogę ku ostatecznemu przeznaczeniu. Jeśli teolog nie odnajdzie w sobie głębokiej przyjaźni umysłu i serca, to jego rozważania teologiczne będą czysto intelektualne, suche oraz abstrakcyjne. Taka teologia nie trafi do ludzi, nie przemówi do nich. To prawda, że scalenie umysłu i serca w życiu teologa nieraz nie jest łatwe. Zwłaszcza dla kogoś o mentalności ścisłej, wybitnie racjonalnej, wręcz matematycznej. Taki intelekt z wielkim trudem przyjmuje to, co nie ma jednoznacznej weryfikacji. A na tę niedogodność teolog jest stale narażony, szczególnie wtedy, gdy zajmując się teologią, chce być blisko życia ludzi.

**Czy jednak teolog nie jest powołany do tego, by na drodze namysłu, wysiłku intelektualnego dokonywać weryfikacji, a tym samym pewnego ujednoczenia dostępnych mu interpretacji prawd wiary?**

Czytamy w Księdze proroka Jeremiasza: „Czy moje słowo nie jest jak ogień – wyrocznia Pana – czy nie jest jak młot kruszący skałę?” (Jr 23,29). Cytat ten nie jest bezpośrednią odpowiedzią na Pani pytanie, ale przytaczam go, ponieważ kiedyś bardzo zastanowiło mnie, jakim komentarzem opatrzyli ten fragment rabini. W Talmudzie są takie słowa: „Jak skała kruszy się pod uderzeniem młota na wiele odprysków, tak dzieliło się również każde słowo, które wyszło z ust Najwyższego (niech będzie błogosławiony!), na 70 języków” (*bSzabbat*, 88b). A więc Słowo jest dostępne ludziom jedynie w wielości interpretacji.

Świadectwo Biblii jest wielowarstwowe, wielogłosowe. Także Ewangelia jest czterokształtna. Być może ta wielość jest odzwierciedleniem złożoności naszego życia, a zarazem

przestroga dla wszelkich skłonności do fundamentalizmu. Podobno dzieci, które śpiewają w chórze, mają potem inaczej ukształtowaną percepcję – nakierowaną na wielość głosów, nie na monodię. Nawiązuję do tej muzycznej wrażliwości za Hansem Ursem von Balthasarem, który jedną ze swoich książek zatytułował *Die Wahrheit ist symphonisch* (Prawda jest symfoniczna). Cały trud polega na tym, aby umieć odnaleźć harmonię w tej wielości głosów, której zagraża popadnięcie w kakofonię. Otóż w swej wielogłosowości Biblia uczy przede wszystkim szacunku dla różnych interpretacji, jest szkołą dialogu. Pewne teksty biblijne, choć często nieprzystające do siebie, nie muszą się ostatecznie wykluczać. Może one zderzają się ze sobą po to, aby przekazać wizję pełniejszą, głębszą, mądrzejszą, a zarazem bardziej ludzką? W Psalmie 62 pojawia się zaskakujący werset, który koresponduje z przytoczonym fragmentem z Księgi Jeremiasza i komentarzem talmudycznym. Tam Słowo Boga dzieliło się na „siedemdziesiąt języków”, tu mamy je podwojone: „Bóg jeden raz przemówił, a dwa razy słyszałem” (Ps 62,12; wyróżnienie W.H.).

Przedziwne doprawdy jest owo boskie „jeden raz” i ludzkie „dwa razy”! Warto się nad tym zadumać. Zastanawia ta właśnie otwartość Biblii hebrajskiej. Ten, kto ją czyta, musi pojednać w sobie samym nieprzystające do siebie interpretacje lub po prostu nauczyć się żyć ze świadomością pewnych napięć i sprzeczności. Teologowie chrześcijańscy, zwłaszcza ci, którzy angażują się w dialog międzywyznaniowy i międzyreligijny, powinni być świadomi tej paradoksalnej mądrości.

Nie kłóćmy się! Nie zdołamy sprowadzić naszych różnic w interpretacji do wspólnego mianownika, bo za płytka jest

nasza wiedza, za wątła jeszcze nadzieja, za krucha mądrość. Może nawet nie powinniśmy próbować. Bóg nie jest samotnym narcyzem, lecz jednością Osób. Wiara w Trójcę Świętą wyraża wielkie, powszechne prawo istnienia. Życie jest relacyjne i rodzi się z relacji. Nikt nie jest zamkniętą monadą. To jedna z najgłębszych i zarazem najbardziej wymagających prawd wiary chrześcijańskiej. Życia nie starczy, by ją zgłębić. Dla naszych braci i siostr w monoteizmie, Żydów i muzułmanów, wizja jednego Boga, ale istniejącego w komunii trzech Osób, jest trudna do przyjęcia. Nie mogą się z nią pogodzić. Dlatego, powtarzając zresztą słowa niektórych rabinów, ośmielam się mówić: „Poczekajmy, bądźmy cierpliwi! Jedni i drudzy oczekują mesjasza. Chrześcijanie są przekonani, że już przyszedł, wy, że dopiero przyjdzie. Poczekajmy! Przekonamy się kiedyś, ale bądźmy rozsądni, nie róbnym z tych różnic powodu do religijnej wrogości”.

**Czy w ten sposób nie znika jednak z horyzontu prawda, do której przekazywania teolog jest w sposób szczególny powołany? Czy ta wielość interpretacji nie przesłania kierunku, w którym powinniśmy zmierzać?**

Zwróćmy uwagę na etymologię słowa „prawda”. W języku greckim pojęcie *alētheia* znaczy dosłownie „to, co nieukryte”, „nietajne”, „nieskrytość”, a więc zaprzeczenie (przedrostek „a”) zakrycia (od *lantháno* lub *lēthō*, czyli być ukrytym, nieznanym, niedostrzeżonym, ukryć się). Prawda jest tym, co zostało odsłonięte, co nie jest zakryte lub co ujawnia się, gdy znika przeszkoda w dostrzeżeniu czegoś. Pewien sposób podejścia do prawdy w rzeczywistości od niej oddala. Piłat



pytał Jezusa, „co to jest prawda” (J 18,38), i nawet nie czekał na odpowiedź. Zamiast abstrakcyjnych rozważań Jezus wskazał na siebie i świadectwo swego życia. Zabrakło uwagi, chęci słuchania i zrozumienia. W imię prawdy wzajemnie się zwalczamy, niszczymy i zabijamy, chociaż do prawdy ostatecznej wszystkim nam równie daleko.

Chrystus mówił o sobie, że jest „drogą, prawdą i życiem” (J 14,6). Słowa o połączeniu prawdy z drogą i życiem tchną niezwykłą mądrością. Są inspiracją także dla teologii. Być może prawda odsłania się nam w życiu w momentach szczególniego zdumienia, zadziwienia światem i darem istnienia lub w chwilach wielkiej miłości do człowieka. Te ciche olśnienia są jedynie krótkimi momentami w naszym ziemskim podążaniu ku prawdzie ostatecznej. Już średniowieczni myśliciele definiowali artykuł wiary jako *perceptio veritatis tendens in ipsam* – percepcja prawdy zdążająca do niej samej.

W sferze wiary posiadamy jedynie częściową, ograniczoną percepcję prawdy, która się nam odsłoniła. Nie jest to jednak rzeczywistość ostateczna, do której dopiero zdążamy. Pozostajemy przede wszystkim ludźmi poszukującymi prawdy. Apostoł Paweł przypominał, że „częstkowe jest nasze poznanie i częstkowe nasze prorokowanie”, że „widzimy niejasno, jakby w zwierciadle” (1 Kor 13,9.12). A cóż to były ongiś za zwierciadła z polerowanego metalu! Nic dziwnego, że odbicie było niejasne i niewyraźne. Świadomość, że po części jedynie poznajemy, jest ostrzeżeniem przed wygórowanymi ambicjami poznawczymi, apelem o uważność i uwrażliwienie na siebie nawzajem. Nasze percepcje mają to do siebie, że są zmienne i niepełne. Kiedy widzę jedną stronę stołu, nie dostrzegam drugiej. Postrzegamy całą rzeczywistość, także tę duchową – nie łudzmy się! – zawsze tylko w pewnych

aspektach. Dlatego tak ważne jest, by wziąć sobie do serca ostrzeżenia zawarte w tekstach Pisma. Bóg mówi raz, my zaś dwa razy słyszymy. Jego słowo nie mieści się nawet w wielości języków, jak napisano w Talmudzie. Trzeba więc uważnie słuchać siebie nawzajem, a chyba będziemy bliżej prawdy.

**Ale jak pogodzić taką postawę z przywiązaniem do doktryny, a więc prawdy uchwyconej jako pewien system teoretyczny, przywiązaniem znamionym szczególnie dla katolicyzmu?**

Wcale nie tak trudno je pogodzić, ale wtedy, gdy mówimy o skromnej doktrynie ludzi wiary i nadziei, nie zaś o doktrynerstwie oraz groźbach utraty zbawienia, które są wypaczeniem nauki. Taka postawa, i dziś przecież nierzadka, ma więcej z posłuszeństwa ideologii niż z wiary religijnej. Może dlatego tyle nieszczęścia w dziejach Kościoła.

**I coraz mniej teologów zajmujących się żywą teologią, a nie jedynie zbożną archeologią, by posłużyć się rozróżnieniem Jerzego Nowosielskiego. Wielokrotnie w wywiadach wskazywał on, że strach przed odrzuceniem czyni ze współczesnych teologów głównie historyków religii i przyczynia się tym samym do sprzeniewierzenia powołaniu. Czy podziela Książdz tę niewesołą diagnozę?**

Jeśli teolog ma jakiś charyzmat, to jest to charyzmat poszukiwania. I tyle w nim z proroka, ile wytrwałości w poszukiwaniu. W tym kryje się chyba samo sedno powołania teologa. Szanujmy jako wspólnota ten charyzmat. Tak można by

apelować w imieniu całej rzeszy teologów. Owszem, szukać to znaczy także móc pobiłdzić. Dlatego zadaniem wspólnoty jest życzliwie reagować na to, co głosi teolog. Niech ona w razie potrzeby koryguje, ale nie ucieka się od razu do surowych sankcji. Czy to jest rzeczywiście jedyna skuteczna obrona przed rzekomo fałszywą nauką? Czy wyraża ducha miłości i zaufania, który powinien chrześcijan wyróżniać?

Bez ogromnej pracy teologów nie byłoby II Soboru Watykańskiego. Jednak ci sami teologowie wyniesieni po latach do najwyższych godności w Kościele byli wcześniej przez niego karani i potępiani. Myślę tu o takich znanych postaciach jak m.in. dominikanin Yves Congar. Pod koniec życia został kardynałem, a wcześniej musiał zmagać się z odtrąceniem i wygnaniem. Najpierw skierowano go na zsyłkę do Jerozolimy, potem do Anglii. Czy musiało tak być?

Doktryna jest potrzebna, ale ona potrafi też zniewalać. Kiedy znika nam sprzed oczu to, że jest ona jedynie cząstkowym ujęciem prawdy, to zaczyna uderzać w ludzi i często całkiem realnie ich niszczyć. Taka postawa szczególnie dziś, kiedy ludzie mają do wyboru wiele dróg, jest też z wielką szkodą dla wiarygodności Ewangelii i Kościoła. Niewierzący patrzą na nas i mówią: „Dla naukowców mamy współcześnie wielki szacunek, gdyż otwierają nowe perspektywy, a wy, głoszący miłość, nie szanujecie własnych myślicieli”. Nie chcę w ten sposób lansować żadnej apologii teologa. On przecież nie wie wszystkiego, lecz sam pyta i poszukuje odpowiedzi na pojawiające się pytania. Jest tylko ustawicznym *studiosus theologiae*. Dopiero u kresu swojej drogi, po drugiej stronie życia, może spodziewać się odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. Możliwe, że dopiero tam będzie umiał je właściwie postawić, gdy zobaczy świat, o którym teraz

nie ma pojęcia, w którym będzie zupełnie inaczej – *totaliter aliter*, jak często powtarza abp Alfons Nossol za Karlem Barthem – inaczej, niż głoszą nasze doktryny.

Dlatego nie przywiązujemy do nich aż tak dużej wagi, żeby stawały się przyczyną cierpienia dla innych. To się potem mści, trzeba się potem cichcem wycofywać – jak to miało miejsce pół wieku temu na II Soborze Watykańskim. Nie mówmy, że w Kościele jest tylko ciągłość i że wraz z tym Soborem nic się nie zmieniło. Nieprawda, wiele się zmieniło! Już sama doktryna o kręgach przynależności do Kościoła, o tym, że Duch Święty daje dostęp do misterium paschalnego wszystkim ludziom dobrej woli; że nie wolno posyłać wyznawców innych religii na potępienie, lecz szanować religijną wolność sumienia – jest wielką, realną zmianą, przyznaniem się do błędnych poglądów głoszonych w przeszłości i zerwaniem z nimi. Błędna doktryna powtarzana z pokolenia na pokolenie staje się ideologią i narzędziem zniszczenia. Wojny religijne są tego najstraszliwszym przykładem i ostrzeżeniem. Podziały, które obecnie obserwujemy w Polsce, są przekreśleniem nie tylko miłości bliźniego, do której nawołuje Ewangelia, ale i mądrości, nawet już nie chrześcijańskiej, ale zwyczajnej ludzkiej.

**Ksiądz także już nieraz jako teolog spotkał się z odrzuceniem. Czy czuje się Ksiądz heretykiem we własnej wspólnocie?**

Nie czuję się heretykiem. To niektórzy „bezinteresowni” obrońcy ortodoksji pałają chęcią wykluczenia i wydają takie sądy. A kim właściwie jest heretyk w świetle Ewangelii i jej najważniejszego przykazania? O przynależności do Jezusa

Chrystusa decyduje przede wszystkim to, jacy jesteśmy wobec innych. Jego przypowieść o sędzie nad narodami ustawicznie przypomina, że będziemy sądzeni z miłości – z tego, jacy byliśmy wobec potrzebujących, głodnych, biednych, spragnionych, bez dachu nad głową, chorych czy więźniów, którzy przecież nie zawsze są niewiniątkami. Czy inni chrześcijanie są heretykami i schizmatykami? Jeśli tak będziemy o nich myśleć, to prawdziwy dialog ekumeniczny będzie bezowocny. Czy odnosząc się do nich ze zrozumieniem, sympatią i tak pisząc o nich, dopuszczam się niewierności wobec swojego Kościoła? Czy nawet kiedy nazywam świadków Jehowy braćmi i siostrami, zbaczam na złą drogę? Tak, jestem im życzliwy. Chociaż wiele z tego, co głoszą, nie przyjmuję (choćby nauki o ostatecznym unicestwieniu grzeszników), to podzielam ich przeświadczenie, że piekło nie jest wieczne. Różni są głosiciele Dobrej Nowiny o Bogu. Nie udawajmy, że tylko my mamy do niej dostęp.

Był kiedyś młody człowiek, który miał już za sobą kradzieże, a nawet gorsze przestępstwa i co rusz wracał do więzienia, aż w końcu sam się podpalił. Odwiedzał to więzienie lub był jego pracownikiem pewien świadek Jehowy. Widząc tego młodego człowieka w rozpacz, przyniósł mu kiedyś jedną z moich książek *Nadzieja zbawienia dla wszystkich* (Warszawa 1989). Właśnie dzięki niemu ten młody człowiek bardzo głęboko przejął się przesłaniem tej książki, można by powiedzieć: uczeplił się nadziei. Wyszedł z więzienia, wrócił do życia, założył rodzinę. Potem przez kilka lat z nim korespondowałem. Tym razem to właśnie świadek Jehowy okazał się miłosiernym Samarytaninem, prawdziwym bliźnim człowieka w potrzebie. A to jest, także w sensie teologicznym, najbardziej doniosła kategoria.

## Jest Książdz jednak na obrzeżach Kościoła. To nie najwygodniejsza pozycja...

Nie mnie sądzić, czy jestem na obrzeżach Kościoła. Być może ze względu na określone poglądy teologiczne, które głoszę od lat... Nie jest to pozycja wygodna, ale to ona właśnie chroni mnie przed ciasnym światopoglądem. Nie noszę binokli, które nie pozwalają patrzeć ani w lewo, ani w prawo, tylko na wprost. Zazwyczaj na obrzeżach, gdy jesteśmy w drodze, najwięcej się dzieje i najwięcej zmienia. Dążąc do celu, warto je obserwować, bo one pomagają lepiej zrozumieć, dokąd zmierzamy. Zresztą nie tylko cel, ale i droga jest ważna. Wielki kardynał, dzisiaj już błogosławiony, John Henry Newman mawiał: „*To live is to change*”, „żyć to się zmieniać”. A zmieniamy się zwłaszcza pod wpływem innych ludzi, także tych inaczej myślących oraz inaczej się modlących.

Kiedy przez lata prowadziłem dla anglistów konwersacje w języku angielskim na temat wiary i Kościołów w krajach anglosaskich, często przytaczałem im mądrą grę słów byłego arcybiskupa Canterbury, Roberta Runcie’ego. Mówił on, że trzeba się uczyć myśleć, spoglądając na boki (*to think laterally*). Myśleć lateralnie, a nie literalnie (*literally*), biorąc wszystko dosłownie. Gdy myślimy na sposób lateralny, to możemy łatwiej znaleźć nieoczekiwane rozwiązanie jakiegoś trudnego problemu. Arcybiskup Runcie mówił o tym w kontekście dialogu między chrześcijanami, uwrażliwiając na to, by uczyć się myśleć razem z drugim, próbować przejąć jego perspektywę widzenia i podjąć wysiłek zrozumienia, a przede wszystkim wsłuchać się w to, co mówi. Bo zbyt często nie słuchamy się wzajemnie. Jak mamy usłyszeć głos Boga, jeśli siebie samych uważnie nie słuchamy?

Wracam jednak do niedogodnej sytuacji na obrzeżach. Oczywiście, że jest trudno, gdy trzeba się mierzyć z różnymi oskarżeniami. Było ich wiele ze strony niektórych Czytelników. Wystarczy zerknąć do mojej książki *Nadzieja w dialogu* (Warszawa 2007), która stanowi zapis korespondencji z Czytelnikami. Nieraz musiałem usprawiedliwiać się przed abp. Bolesławem Pylakiem z powodu oskarżeń o nieortodoksyjność idei, które głoszę. Byli tacy, co domagali się usunięcia mnie z uniwersytetu. Oskarżenia słało też kilkakrotnie do episkopatu. Starałem się wyjaśniać, że nie głoszę jedynie własnych poglądów, że wystarczy sięgnąć zwłaszcza do pism wielkich Ojców Kościoła wschodniego; że także Jan Paweł II w książce *Przekroczyć próg nadziei* (Lublin 1994) przypominał dzieje idei apokatastazy i stwierdził w końcu, że „problem jednak pozostał”. Niech więc zajmują się nim dalej teologowie, tak jak to uczynił wspomniany już Hans Urs von Balthasar. Chciano nałożyć na mnie także sankcje za artykuł *Zbawiciel jest polifoniczny*, opublikowany w londyńskim piśmie internetowym „Open Theology” (2007), w którym broniłem statusu eklezjalnego Kościołów protestanckich jako „Kościołów w ścisłym sensie tego słowa”. Wtedy zachorowałem na nowotwór i chyba tylko dzięki życzliwym reakcjom i interwencjom wielu osób z różnych Kościołów na świecie sankcji nie było.

**Ta reakcja wspólnoty, rezonans, z jakim spotykają się Księża wypowiedzi i teksty, odgrywa dużą rolę w Księża teologicznym przepowiadaniu?**

Bardzo cenię wsparcie, którego udzielają mi wierzący, oraz zachętę, by iść dalej obraną drogą w poszukiwaniach.

Pokrzepiają zapewnienia, że to, co robię, ma sens; dodają otuchy przejawy wspólnych intuicji religijnych. Zwykła ludzka potrzeba. Wiara innych rodzi się z wiary, nadzieja z nadziei, życzliwość z życzliwości – rozprzestrzeniają się jak płomyki ognia, jeden od drugiego. „Światłość ze Światłości”, *Lumen de Lumine* – wyznajemy w *Credo*.

Jestem przekonany, że w tym przesłaniu, któremu staram się dawać świadectwo, jest jakaś słuszna, historyczna i teologiczna racja. Ta wizja pomaga żyć, trudzić się, walczyć z poczuciem daremności. Robię to, co robię, na mocy wewnętrznego imperatywu. Nie mogę rezygnować ze strachu przed sankcjami czy z obawy przed oskarżeniami. Nie trzeba zresztą wyolbrzymiać tych trudnych momentów. One skłaniają do głębszej refleksji i oczyszczają świadomość. Przekonują, że sam wiele jeszcze muszę zrozumieć. Zdaję sobie sprawę, że nie sposób w pełni wyrazić prawdy o najsmielszej spośród wszystkich nadziei, którą głoszę. Mogę jedynie w mniejszym lub większym stopniu ją przybliżyć. Ciągłe się tego uczę. To właśnie dzięki trudnym doświadczeniom można nauczyć się najwięcej. Kiedyś powiedział Janusz Głowacki, że nic tak nie pomaga pisarzowi jak upokorzenie. Ono skłania do myślenia i szukania nowych dróg oraz nowych świadectw. W oparciu o nie próbuję poszerzać zakres przesłania o nadziei. A świadectw jest wiele, także literackich. Ot, choćby opis chasydzkiej wizji pojednania Boga z Szatanem, jaki przed laty odkryłem u Stanisława Vincenta w książce *Na wysokiej połoninie*.

Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo jako teolog znalazłem swoją drogę w życiu. Żadne przeciwności nie są w stanie zniszczyć tego przeświadczenia. Przeszkody, które co jakiś czas się pojawiają, to nawet pewna przysługa, bo



kiedy poprzeczka jest wysoko, to zazwyczaj i skacze się wyżej.

Jest Ksiądz teologiem o pogodnym obliczu, to nie ulega wątpliwości, ale też w swej działalności teologicznej wyraźnie wskazuje Ksiądz na ciemne, a nawet zupełnie mroczne strony Kościoła, tak w jego historii, jak i dziś. Czytając *Nad przepaściami wiary*, gdzie w sposób szczególny daje Ksiądz wyraz tej gorzkiej świadomości, zastanawiałam się, dlaczego, pomimo tych wszystkich zgorszeń, a także osobistych zranień, jest Ksiądz w Kościele. Czy nigdy nie zrodziła się w Księdzu myśl o odejściu?

Nie żyję tylko świadomością chwały Kościoła. Jest on przede wszystkim przekąźnikiem, daje wiarygodną wizję życia, do której się coraz bardziej przekonuję. Daje nadzieję, uczy mądrości. O Chrystusie powiedziano jednak, że „przyjął postać sługi” (Flp 2,7). To jest imperatyw także dla Kościoła. Nieewangeliczny styl sprawowania funkcji w Kościele staje się przyczyną wielu ludzkich tragedii. Kaleczy ludzi, zraża ich i dlatego odchodzą.

Osobiście nie miałem pokusy odejścia. Za wiele czasu swojego życia oddałem ekumenii, sprawie wiary i nadziei. Nie mógłbym się tego wyprzeć. Wiem, że także w przeszłości wielu ludzi doświadczyło cierpienia od Kościoła. Nie można tego cierpienia usprawiedliwiać i zagłaskiwać ochoczym przydawaniem mu sensu. Tylko ten, kto je przeszedł, może powiedzieć, co ono wniosło do jego życia i czego nauczyło. Samo cierpienie potrafi zdruzgotać, uczynić człowieka zgorzkniałym i trudnym do zniesienia. Nie inaczej jest

w Kościele. Dlatego kiedy on sam staje się przyczyną cierpienia, jego samego to również okalecza. Wierzę, że Chrystus nieustannie zstępuje w rzeczywistość cierpienia, w *infernium* świata, w najmroczniejsze jego miejsca i tam uzdrawiająco działa na swój boski sposób. Łatwo jest cieszyć się z powodu Kościoła, świętować z nim, trudniej przychodzi to jednak ludziom przez niego zranionym. Trzeba wciąż uczyć się przebaczać. Owszem, są momenty, gdy można poczuć się stłamszonym, przygniecionym przez poczucie daremności. Ale zaraz też powraca jak echo zawołanie św. Pawła: „w Panu wasz trud nie jest daremny” (I Kor 15,58). On naprawdę nie jest daremny! Ale „w Panu”! Nadzieja jest właśnie tą pracą ducha przeciwko daremności, przewyciężaniem tego destrukcyjnego poczucia, które coraz częściej zagląda ludziom w oczy i odbiera radość życia.

Może to niewiele, ale poszukiwanie nadziei naprawdę przypomina chodzenie nad przepaściami wiary. Dlatego powtarzam za kard. Newmanem: „*one step enough for me*”. Jeden krok mi wystarczy.